

Złoto do złota...

Przedziwna historia o intuicji i sugestji

Gazety barcelońskie opowiadają dziwną historię, jakby wyjętą z jakichś średniowiecznych legend. Gdyby nie dokładnie podane nazwiska i daty, można by myśleć, że chodzi o rzecz zmyśloną, ale gdyby nawet tak było, trzeba by powiedzieć: „Si non et vero, et ben trovato”.

Działo się to mniej więcej przed rokiem w jednej z zapadłych górskich wiosek w południowej Kastylii. Do jednego z gospodarzy przybyła jego kuzynka, 17-letnia Dolores Gomera, której nadzwyczajna inteligencja tak bardzo zwracała uwagę otoczenia, iż już po paru tygodniach dziewczyna cieszyła się w całej wsi olbrzymim autorytetem. I oto pewnego dnia oświadczyła, że na sąsiedniej górze musi być zakopany stary skarb. Powoływała się na wizję o lśniącym złocie z głębi ziemi, jakie już od kilku dni miała we śnie. Zaproponowała więc wujowi i jego sąsiadom, aby wraz z nią wyruszyli na poszukiwanie.

Siła sugestji, jaką rozporządzała Dolores, była tak wielka, że wszyscy bez wahania wyruszyli z nią na górę, gdzie Dolores z zamkniętymi oczyma i rękoma położyła przed siebie wyciągniętymi obchodzącą dokoła kilka miejsc, aż wreszcie ręce jej poczęły gwałtownie drżeć, opadając ku ziemi.

„To tu” — oświadczyła zdecydowanym tonem.

Poczęto kopać i rzeczywiście w głębokości 2 metrów znaleziono skarb stary, prawdopodobnie jeszcze z rzymskich czasów pochodzący, złotych monet. Jak młoda dziewczyna doszła do odkrycia tego „skarbu” (gdyż wartość monet nie była stosunkowo tak wielka), pozostało tajemnicą. Niewątpliwie działała tu jakaś przyrodzona zdolność magnetycznego odczuwania, podobnie zresztą jak to bywa u różdkarzy odkrywających podziemne żyły wody.

Wypadek stał się sławny w całej wsi i w okolicy. I stąd rozpoczęła się cała seria poszukiwań za skarbem. Bo Dolores uparcie twierdziła, że jednak pod ziemią znajdują się olbrzymie masy złota.

Fototelegrafia

W komunikacji telegraficznej między Moskwą a Leningradem za stosowano nowy system przekazywania depesz, mianowicie t. zw. fototelegraficzny. Zamiast podawać słowa, przekazuje się obecnie fotografię oryginalnego tekstu depeszy wraz z podpisem i adresem, co, jak wykazały doświadczenia, przyczynia się do znacznie szybszego przekazywania depesz.

ta. Kopano więc w różnych miejscach, ale — napróżno. Trzeba więc było wykopać doły zasypywać spowrotem, tylko że... po zagrzebaniu w nich rozmaitych przedmiotów złotych, klejnotów,

a nawet banknotów. Dolores bowiem potrafiła wytłumaczyć wiśniakom, że złoto trzeba „przynęcić”: jeśli się w ziemi zakopie przedmiot złoty, to on przyciągać będzie ku sobie skryte w ziemi

Radio w kuchni jako piec i jako lodownia

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej oraz w Holandji, są czynione doświadczenia, celem zastosowania fal radiowych, jako energii cieplnej do pieców kuchennych. Do „pieca radiowego” jest potrzebna lampa radiowa, silniejsza niż w aparatach radiowych, szpula z miedzianym drutem i duże dwie metalowe brytwany. Gdy aparat włączony, kładziemy potrawę do jednej z brytwan, nakrywając ją drugą. Podczas gdy na kuchenkach gazowych czy elektrycznych mięso zzewnątrz szybko się opala, a wewnątrz jeszcze jest surowe, w „radiokuchni” rzecz się ma odwrotnie. Mięso zostaje upieczone równomiernie, będąc kruche i

całkowicie zgotowane. Pieczenie to odbywa się tak regularnie i szybko, że nawet zupełnie niedoświadczona, nieumiejąca gotować kucharka może z całą łatwością brać się do tej pracy.

Również, jak twierdzą fachowcy, znikną wkrótce chłodnie i lodówki. Nowy aparat radiowy zastąpi te „przeżyte” wynalazki. — W holenderskich laboratoriach są przechowywane w tych radioaparatach owoce i jarzyny, a posiadają wygląd, jakby wczoraj były zerwane, względnie wykopane. Pozostawiały one przez cały czas pod działaniem fal radiowych, zabijających zarodki rozkładowe.

Cała Afryka dostarczała wielbłądy dla armii włoskiej

Kiedy w jesieni r. z. armia włoska rozpoczynała działania wojenne na terenie abisyńskim, pewnego dnia z głównego urzędu zaopatrywania armii wydany został rozkaz, który poruszył całą Afrykę, gdyż dotyczył zakupu dziesięciu tysięcy wielbłądów. Zwierzęta miały być dostarczone do korpusu Askari, słynnego korpusu jeźdźców na wielbłądach, walczącego na prawem skrzydle armii włoskiej.

Kto chce kupować w Afryce zwierzęta — czy to mają być gale, zebry, małpy, czy też wielbłądy — udać się musi do Khartumu, które jest centrum handlu zwierzętami dla całej Afryki. Tam udają się zawsze przedstawiciele największych europejskich i amerykańskich ogrodnów zoologicznych celem dokonania zakupów. A zatem obywatel włoski skierowany został do Khartumu i wzbudził tam niebywałą sensację.

10.000 wielbłądów! Obstawunku takiego nie było od czasu, jak istnieje handel wielbłądami. Ogromne podniecenie zapanowało w kołach handlarzy.

Z niebywałą szybkością wiadomość o zamówieniu włoskim przesłana została do innych miast, na odległość setek, a nawet tysięcy kilometrów. Nie drogą telegrafii-

czną, oczywiście, lecz zapomocą pracującą z niesłychaną precyzją i piorunującą szybkością pocztą pantoflową; którą rozporządza Afryka od dawien dawna i której mechanizm pozostaje wieczną zagadką dla Europejczyków.

Poszukuje się wielbłądów! Za wszelką cenę poszukuje się wielbłądów! Wezwanie to rozbrzmiewało jednocześnie nad Nilem, nad jeziorem Czad i w Kongo. Ze wszystkich krańców Afryki rozpoczął się marsz nieprzeliczonych karawan wielbłądów na Khartum. Takiej ilości wielbłądów nie widziały jeszcze pustynie Sudanu. Nigdy też promieniejący szczęściem handlarze wielbłądów nie osiągnęli tak wysokich cen za swój towar jedno i dwugarbny. Na rynku w wielbłądzim zapanowała nienotowana w dziejach haussa. Za jednego wielbłąda płacono 1.500, 2.000 a nawet 3.000 lirów, podczas gdy dwa tygodnie temu przeciętne ceny wahały się w granicach 800 lirów.

Wkrótce potem wyruszyła olbrzymia karawana, tym razem wiodąca z Khartumu w stronę Erytrei, złożona z niekończących się szeregów złotych, garbatych zwierząt, zaplątanych w tragiczne losy wojny.

złoto — i w ten sposób po pewnym czasie cała masa tajemniczego skarbu wypłynęła niejako tuż pod powierzchnią ziemi.

A no dobrze. Zakopano już do ziemi różnych przedmiotów wartościowych i pieniędzy na sporą sumkę 5.000 pesetów, gdy wreszcie Dolores orzekła, że to „wystarczy”. Teraz, mówiła, poczekamy tydzień, a po tygodniu będziemy kopali — tym razem już na pewniaka. Czekano więc tydzień, ale po jego upływie pokazało się, że Dolores znikła bez śladu. Kiedy zaś poczęto rozkopywać niedawne miejsca poszukiwań, aby z nich wydobywać zagrzebane przedmioty, okazało się, że dziewczyna już przedtem to samo właśnie zrobiła. Zapanowała gremjalna irytacja, jak można było dać się tak otumanie sugestjonomce, poszły doniesienia do policji, rozpoczęły się poszukiwania. Wszystko napróżno: Dolores przepadła, jak kamień w wodę.

Aż po upływie roku poszukiwana niespodziewanie się zjawiała spowrotem — ale jak! Bogata dama, przystrojona w klejnoty, własnym samochodem...

— Przyjechałam zapłacić swoje długie — oświadczyła rezolutnie — poczem jaknajskrupulatniej każdemu z mieszkańców wypłaciła co do grosza, na ile był poszkodowany. Potem zaś opowiedziała dal szczyt swojej historii.

Z zabraniami pieniędzmi i kosztownościami Dolores wyjechała do jednego z hiszpańskich miast portowych, gdzie pod przybranym nazwiskiem założyła za tę sumę sklep z czekoladą. Intuicja, która jej swego czasu wskazała miejsce zakopanych złotych monet, była i tym razem znakomitą przewodniczką młodej dziewczyny, gdyż czekoladowy interes okazał się prawdziwie złotym i w ciągu roku z 5.000 zrobiło się 100.000. Wraz z majątkiem przyszło także poważanie, tembardziej, że właścicielka sklepu czekoladowego odznaczała się niepospolitą, fascynującą urodą. Zjawiały się także bardzo nęcące propozycje małżeńskie.

Ale Dolores chciała przedtem uporządkować swoją przeszłość, aby móc powrócić do swego prawdziwego nazwiska. Nikt oczywiście nie miał przeciw niej żadnej pretensji, a policja musiała również wstrzymać dalsze dochodzenia, skoro nikt już nie był poszkodowany.

Wszystko to zaś zrobiła intuicja i sugestja.

Rzeczywiście, złoto lubi iść do złota.

Odkąd jemy lody?

Kroniki londyńskie donoszą, że w roku 1864 jeden z bardzo pomysłowych Włochów, stale mieszkający w Londynie, poraz pierwszy wprowadził nowość sprzedawania lętnią porą lodów poza lokalem. Sprowadził on bardzo piękny i ozdobny wózek z Weneccji i wypuścił go na miasto, posługując się przytem swoją dzieciarnią. Od tej pory wózek z lodami zdobywał ulice, ogrody, parki miast, stanowiąc duże zmartwienie matek, przesładowanych przez swoje pociechy, żądaniem kupna lodów.

Później podawano lody do wierzchoz, lecz przyrządzane już przez same gospodynie. Rozlegały się formalne grzmoty w domu, gdy rozbijano lód na drobne ka-

wałki, aby posypawszy go solą czerwoną, kręcić prawie z nabożeństwem w maszynce.

Lecz wówczas znano tylko lody poziomkowe i czekoladowe. A dzisiaj — liczy się już przeszło tysiąc przepisów na lody. Ameryka zebrała je skwapliwie, przestudowała, wypróbowała i wydała jako znakomite i niezawodne.

Odkąd są znane lody? Poraz pierwszy miano podać je na końcu przyjęcia wydanego przez króla Ludwika XIV. Przed każdym z gości postawiono coś w kształcie jajek wielkanocnych — kółkowe i twarde. Jak powiada kronika, zdumieni goście stwierdzili, że to nie jajka, a słodka i bardzo smaczna legumina z twardego lodu.

500 funtów kary za... noszenie cylindra

Lord Major Londynu miał w r. 1797 ciężki orzech do zgryzienia. Królewska policja zaareztowała na ulicy Jamesa Hatheringtona, handlarza ulicznego, który zjawiał się w niezwyklej, naturalnie jak na owe czasy, nakryciu głowy, a mianowicie w cylindrze. Był on jednym z pierwszych, który pojawił się publicznie w cylindrze. Protokół policyjny oskarżał go, że zjawiał się na ulicy „w wysokim instrumencie, o polyskującej barwie, obliczonem na to, ażeby spokojnych ludzi straszyc”.

„Instrument” policja przedłożyła sądowi jako corpus delicti. Rozprawa przed Lordem Majorem stwierdziła, że cały szereg kobiet na ten niezwyklej widok zemdało, dzieci wrzeszczały, psy szczelewały i wyły, a najmłodszy syn handlarza skór Thomasa, wybierając od mydlarza z kupioną świe-

cą, ze strachu upadł i złamał rękę straconą przez uciekającego!

Oskarżony bronił się, że wolno mu chodzić w takim nakryciu głowy, jakie uzna za potrzebne, ponieważ żadne prawo nie czyni przeszkód w tym kierunku. Jak przykład podał, że wynalazcę parasola gdy się poraz pierwszy zjawiał na rynku, prawie że ukamienowano. On jednak ze swoich praw nie zrezygnuje, gdyby miał nawet bardzo ciężkie konsekwencje ponieść.

Wywody te nie pomogły. Hatherington został zasądzony, spowodu „złamania spokoju i podlegnawania do zaburzeń” na karę 500 funtów lub też złożenie gwarancji, że więcej nigdy nie pojawi się w cylindrze na ulicy.

Nie chcąc stracić 500 funtów, Hatherington, więcej w cylindrze się nie pokazał. A jednak dożył tej chwili, że już następny wiek — został wielkiem cylindram...

HUMOR

TAKŻE KLIENT

Lopek wchodzi do sklepu. — Czem mogę służyć? — pyta uprzejmie ekspedjent. — O, nie takiego; deszcz leje jak z cebra.

TO NAJWAŻNIEJSZE — Chciałbym pomówić z artystą, który malował ten obraz. — Pani pozwoli, że się przedstawię.

— Ach, bardzo mi miło. Czy może mi pan powiedzieć, gdzie kupi swoje toalety ta pani, którą pan sportretował?

TAKŻE „KLENOTY RODZINNE” — Kamienie żółciowe są dziecinnie w naszej rodzinie, jedna generacja przekazuje je drugiej.

— Są to więc swego rodzaju klejnoty rodzinne...

Drzewa bez sęków

W laboratorium przyrodniczym przy angielskiej dyrekcji lasów państwowych dokonano ostatnio specjalnych prób, celem niedopuszczenia do tworzenia się sęków na drzewach. Bawiem prawie 90 proc. drzew rosnących w Wielkiej Brytanii jest sękowych i z tego powodu nie nadaje się do celów meblarskich i budulcowych. Usunięcie zatem sęków z drzew pozwoliłoby zaoszczędzić setki tysięcy funtów rocznie.

Ostatnio stosowane doświadczenia, polegające na oczyszczaniu bardzo młodych drzew z bocznych gałęzi, dały doskonałe rezultaty.

MARJAN MALKOWSKI

18)

TAJEMNICA ZA KAŻDEMI DRZWIAMI

Powieść

— Pan sędzia szuka czegoś, czy tylko tak sobie? — zagadnął Cudziś zdziwiony trochę zachowaniem się Jalkiewicza.

— Owszem, szukam — rzekł wolno pan Kalikst nie odwracając się od okna — szukam duszy...

— Czego, z przeproszeniem pana sędziego? — Cudziś pochylił się nadstawiając ucha.

— Duszy, — powtórzył Jalkiewicz. Odwrócił się od okna i zatrzymał przed biurkiem. Myślał o człowieku, który w tych czterech ścianach przebywał, pracował, układał plany, gotował się do walki i powracał tutaj czasem zwycięzcą, częściej może zwyciężonym... Zajrzał do szafy i zdziwiła go jakoś i ilość bielizny, liczba ubrań prawie nowych, obuwia, krawatów... zdziwił go ten zbytek przy nędznym wyglądzie pokoju i sprzętów, przy łóżku o wygniecionym materacu i wytartej kołderce; odbrapanem biurku, nędznych stołkach.

Na brudnej nagiej ścianie wisiał w skromnej drewnianej ramce cenny szyć angielski. Jalkiewicz był znawcą i posunął się ku niemu skwapliwie.

Przejrzał książki, leżące na biurku i siadł na chwilę przed maszyną do pisania; zajęła go, dotykał jej, trącał, odmuchiwał z kurzu. Znalazł na podłodze kawał białego papieru i założywszy ją niezgrabnie wystukiwał na maszynie niewprawnymi palcami. Wywadowca Cudziś zaciekawiony zajrzał mu przez ramię i w zdumie-

niu przeczytał: „Warszawa jest dużym miastem; lubię jesień jeśli jest pogodna; spacer jest konieczny dla zdrowia... tydzień ma siedem dni”. Wywadowca Cudziś cofnął się zdumiony i wzruszywszy ramionami kilka razy stuknął się w czoło. Jalkiewicz wyjął papier z maszyny, przyjrzał się uważnie napisanym przez siebie wyrazom i schował kartkę do kieszeni.

— Nie się tu nie zdarzyło ciekawego? — zagadnął Cudziś, schodząc wolno po schodach.

— Nie zauważyłem panie sędzio, ani ja, ani policjant co przed domem stoi, a prawdę mówiąc to i nie przypuszczam, aby się miało co zdarzyć.

— Tak, tak... — mruknął z roztargnieniem Jalkiewicz.

— Com się mógł dowiedzieć, tom się dowiedział, ale nie prawie... Z tego wszystkiego jeszcze narazie nic nie wiadomo, jak przed gładką ścianą, niema się o co zaczepić.

— Prawda, prawda...

Pan Jalkiewicz odszedł już spory kawałek drogi, gdy usłyszał za sobą czyjeś szybkie kroki i nieśmiały zdyszany głos: — Proszę pana!

Zatrzymał się i obejrzał zaciekawiony. Jakaś kobieta w chustce na ramiona narzuconej stała przed nim; twarz miała zniszczoną, bladą, oczy smutku pełne i zakłopotania, przepyszne kasztanowate warkocze upięte wkoło głowy w koronę.

— Czem mogę pani służyć?

— Pan mi wybacz... obejrzała się trwożnie. — Mój mąż i ja jesteśmy właścicielami domu, z którego wyszedł pan przed chwilą.

— A... więc znała pani Choleńskiego?

— Tak... lzy napłynęły jej do oczu... biedny chłopiec, nie żyje... I nic już nie osiągnie z tego, o czem marzył. Proszę niech mi pan daruje... moją śmiałość, ale zobaczyłam pana i nabrałam zaufania...

— Postaram się go nie zawieść... — Sędzia Jalkiewicz uśmiechnął się skromnie.

— Pan przecież nie jest z policji?

— Rzeczywiście... nie jestem z policji. Byłem kiedyś sędzią, ale od wielu lat jestem na emeryturze. Śmierć pana Choleńskiego zainteresowała mnie bardzo; mieszkam w domu, w którym po raz ostatni widziano go żywego...

Wyraz rozczarowania odbił się w twarzy kobiety.

— Więc nie znał go pan przedtem? Mój Boże, myślałam, że jest pan może jego krewnym. Ciagle teraz czekam, że przecież zjawi się ktoś, co go znał dawniej... Biedny chłopiec nie miał nikogo... nikomu jego śmierć nie przypomni chwil dawnych... dawno minionych... Myślałam, że przyjdzie ktoś, komu bym mogła powiedzieć...

— Pani Marten... — poddał Jalkiewicz.

Twarz kobiety zaszepiła się.

— Nie, ona nie...

Pan Kalikst chrząknął i zaczął z westchnieniem:

— Nie znałem wprawdzie pana Choleńskiego, ale jego śmierć tragiczna, to wszystko, czego dowiedziałem się o nim, każą mi go żałować szczerze i głęboko... Proszę mi wierzyć, mam czasem wrażenie, jakbym go rzeczywiście znał. Tak, tak... ktoś przechodzi koło nas i niewidzimy go, a gdy zniknie dopiero zdajemy sobie sprawę, że był przy nas.

— Powiem panu... — rzekła z nagłą decyzją kobieta, — powiem panu... nie jest to nic coby mogło zainteresować policję, nie jest to nic ważnego... — Wahała się; obejrzała się jeszcze raz za siebie.

— Rozumiem... — skinął głową poważnie pan Jalkiewicz. — Pan Choleński mówił pani niejedno o sobie; okazywała mu pani zyczliwość, czuł to i zwierzał się zapewne pani z niejednej myśli, z niejednego zamiaru...

— Nie, nie można by powiedzieć, że się zwierzał. — Potrząsnęła głową kobieta. — Skryty był, ale czasem powiedział mi to i owo. Nie ufał ludziom i miał rację... krzywdzili go zawsze, a i teraz po śmierci nawet nie dają mu spokoju...

— Teraz także? — Jalkiewicz podniósł wysoko brwi.

(D. c. n.)

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefon: 666-68 (redaktor naczelny), 666-68 (sekretariat), 666-99 (ogólny). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 12-13.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Jerozolimskie 121. Telefon: Zarząd 691-64, Prenumerata 691-66, Księgowność i Kasa 220-30. Dział Ogłoszeń Zgoda 1, tel. 691-56, Kantor — Zgoda 1, tel. 230-00. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — ABC Warszawa, Konto P.K.O. Nr. 15-798.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Piotrków Trybunalski, Słowackiego 8, tel. 59, Włocławek, Cyganki 24, tel. 136.

PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnieniem do domu) i na prowincji zł. 2.30 miesięcznie; wydanie B wraz z dziełami Sienkiewicza zł. 3.30 miesięcznie.

Ceny ogłoszeń:

za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalty (na wszystkich stronach po 6 szpalt): na 1-iej stronie — 1 zł., w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty i wyjaśnienia — 1.50 zł., opisy specjalne — 3 zł., lekarzkie — 30 gr. Nekrologia po 2 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a tłusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunikaty i wyjaśnienia cyfrą (K.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada. Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.